

[Akceptuję](#)

W ramach naszej witryny stosujemy pliki cookies w celu świadczenia państwu usług na najwyższym poziomie, w tym w sposób dostosowany do indywidualnych potrzeb. Korzystanie z witryny bez zmiany ustawień dotyczących cookies oznacza, że będą one zamieszczone w Państwa urządzeniu końcowym. Możecie Państwo dokonać w każdym czasie zmiany ustawień dotyczących cookies. Więcej szczegółów w naszej [Polityce Prywatności](#)

[Portal](#) [Informacje](#) [Katalog firm](#) [Praca](#) [Szkolenia](#) [Wydarzenia](#) [Porównania międzylaboratoryjne](#)
[Kontakt](#)



[Laboratoria](#)
[.net](#)
[Innowacje](#)
[Nauka](#)
[Technologie](#)



[Logowanie](#) [Rejestracja](#) [pl](#)

Newsletter

zapisz się

Naukowy styl życia

Nauka i biznes

- [Nowe technologie](#)
- [Felieton](#)
- [Tygodnik "Nature"](#)
- [Edukacja](#)
- [Artykuły](#)
- [Przemysł](#)

[Strona główna](#) > [Informacje](#)

Portale społecznościowe sprzyjają brutalizacji języka

Język nie jest tylko narzędziem opisywania świata, on ten świat współtworzy - powiedział prof. Uniwersytetu Warszawskiego Jacek Wasilewski. W rozmowie z PAP medioznawca

ocenił jak na brutalizację języka wpływają portale społecznościowe i co o współczesnej Polsce mówi język, którym się posługujemy.

PAP: Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu mówiliśmy, że coś jest piękne, świetne albo doskonałe. Dziś częściej jest „zaj...ste”. Zamiast się zdenerwować – „wku...iamy się”. Czy naprawdę nasz język tak bardzo się zbrutalizował?

Dr hab. Jacek Wasilewski, prof. UW, medioznawca: Tak, ale przyczyny są znacznie głębsze niż mogłoby się wydawać. Przede wszystkim ogromna część naszej komunikacji przeniosła się do mediów społecznościowych. A algorytmy mediów społecznościowych premiuje wypowiedzi silnie emocjonalne, spolaryzowane, konfliktowe. Im więcej gniewu, oburzenia czy agresji, tym większa szansa, że taki komunikat zostanie zauważony.

Kiedyś ludzie zabiegali o uwagę dziennikarza. To on był strażnikiem bramy, filtrował emocje, łagodził język i dopiero potem przekazywał go odbiorcom. Dzisiaj każdy jest własnym medium i walczy bezpośrednio o uwagę milionów użytkowników. W takiej konkurencji spokojna, wyważona wypowiedź przegrywa z awanturą. Coraz więcej komunikatów zaczyna przypominać kłótnię dwóch ludzi na podwórku albo karczemną awanturę. I właśnie taki sposób mówienia zaczyna wyznaczać normę również dla polityków, dziennikarzy czy osób publicznych.

PAP: I to jest smutne, że nie tylko społeczeństwo przejęło język ulicy. Także politycy.

J.W.: W demokracji politycy bardzo chcą być postrzegani jako „swoi ludzie”. Dawniej elity komunikowały się językiem dyplomacji, który wyrósł z dworskich rytuałów. Nie mówiło się wszystkiego wprost, bo chodziło o zachowanie twarzy rozmówcy i własnej.

Dzisiaj znacznie bliżej politykom do języka wiecu niż królewskiego dworu. Chcą pokazać: „jestem taki jak wy”. W efekcie język parlamentarny przestał być językiem parlamentarnym, coraz częściej staje się językiem ulicy.

PAP: Kiedyś było bardziej elegancko...

J.W.: To mit. My bardzo idealizujemy przeszłość. Owszem, w radiu, oficjalnej prasie czy podczas uroczystości państwowych obowiązywał bardziej zrytualizowany język. Ale to nie znaczy, że ludzie nie przeklinali.

Przeklinali. I to często. Dwudziestolecie międzywojenne wcale nie było epoką grzecznych polityków. Posłowie wyzywali się od kanalii, płatnych pachołków, zdrajców. Prasa polityczna była niezwykle agresywna i szczyła na przeciwników z ogromną pasją, marszałek Piłsudski niezadowolony z poczynań ministrów rządu lubelskiego, kazał im „kury szczać prowadzać”. Dzisiaj patrzymy na tamte wypowiedzi przez patynę historii i wydają nam się niemal urocze, ale współcześni odbiorcy odbierali je jako bardzo brutalne. Nowością nie jest więc sama agresja, lecz jej powszechność.

PAP: Co się zmieniło?

J.W.: Dawniej istniały bardzo wyraźne granice pomiędzy językiem oficjalnym a prywatnym. Radio przypominało proszony obiad, gazeta była sytuacją oficjalną, tymczasem media społecznościowe przypominają raczej spotkanie przy piwie. Tam obowiązują zupełnie inne reguły: język jest bardziej prywatny, bardziej emocjonalny i mniej kontrolowany. Problem polega na tym, że ten prywatny sposób mówienia zaczął przenikać do wszystkich pozostałych sfer życia.

PAP: Paradoks polega jednak na tym, że choć przeklinamy coraz częściej, robimy to coraz mniej

pomysłowo: kilka wulgarnych słów używanych jako przecinki, zero finezji.

J.W.: I to jest chyba najbardziej przykre. Antoni Słonimski powiedział, że dobry Warszawiak potrafił kłać przez trzy minuty bez powtarzania się.

Dzisiaj bardzo trudno znaleźć podobną kreatywność. Mamy kilka żetonów językowych, które nieustannie wrzucamy do rozmowy. Powtarzamy te same słowa w kółko. Z jednej strony przekleństwa są wszechobecne, z drugiej - język staje się coraz uboższy. Powiedziałbym, że największym problemem jest nie sama obecność wulgaryzmów, ale zanik bogactwa języka.

PAP: Przekleństwa mają też swoją historię.

J.W.: I to niezwykle ciekawą. Weźmy choćby słowo „kiep”. Dzisiaj oznacza człowieka głupiego albo nieudacznika. Mówimy „okpić kogoś”, „pokpiwać”, nie zastanawiając się nad jego historią. Tymczasem pierwotnie odnosiło się do męskich genitaliów i było bardzo ciężką obelgą.

Podobnych przykładów jest więcej. Siedemnastowieczny „kutas” nie oznaczał tego, co oznacza dzisiaj. Był po prostu ozdobnym jedwabnym frędzlem przy pasie kontuszowym szlachcica. Dopiero z czasem, ponieważ słowo zaczęło funkcjonować jako eufemizm dotyczący sfery seksualnej, całkowicie zmieniło znaczenie.

Tak właśnie działa język: niektóre słowa z czasem przestają być obraźliwe, wypłukuje się z nich ta warstwa, natomiast inne stają się wulgarne.

Dobrym przykładem jest także słowo „huncwot”. Mało kto wie, że jego pierwotne znaczenie odnosiło się do narządów płciowych samicy psa (z niemieckiego Hundsfott). Dzisiaj brzmi niemal sympatycznie. Można powiedzieć dziecku: „ale z ciebie huncwot”, i nikt nie odbiera tego jako ciężkiej zniewagi, bo teraz oznacza po prostu łobuziaka.

Znaczenia nieustannie się przemieszczają. Tak samo stało się ze słowem „za...sty”. Pamiętam, że jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, kiedy kolega z klasy używał tego słowa, odbierałem je jako bardzo mocne przekroczenie granicy. Sam raczej nie chciałem go wypowiadać.

Dzisiaj, trzydzieści lat później, dla wielu osób źródłosłów tego wyrazu jest już niemal niewidoczny, po prostu oznacza coś bardzo dobrego.

PAP: Dawniej Polacy bardziej bali się klątw niż przekleństw. Mówiono: „bodaj cię zabito”, „bodajś skapniał”, „niech cię diabli wezmą”. Dzisiaj niemal cała nasza agresja językowa kręci się wokół seksu i anatomii. Kiedy i dlaczego przestaliśmy bać się diabła, a zaczęliśmy szukać ekspresji w genitaliach?

J.W.: Dawniej ludzie znacznie mocniej wierzyli, że słowo ma realną moc sprawczą. Złorzeczenie nie było tylko wyrazem złości. Odpowiadało przekonaniu, że wypowiedziane słowo może rzeczywiście spowodować na drugiego człowieka nieszczęście. Jeżeli ktoś mówił „bodaj cię zabito” albo przywoływał diabła, to wielu ludzi wierzyło, że takie słowa mogą zadziałać. Dlatego złorzeczenia były bardzo blisko świata magii, czarów i sił nadprzyrodzonych. Nieprzypadkowo za praktyki uznawane za czary karano kiedyś niezwykle surowo.

Dzisiaj większość ludzi patrzy na świat znacznie bardziej racjonalnie, więc ten metafizyczny wymiar języka właściwie zaniknął. Natomiast pozostało coś, co nadal jest bardzo silnym tabu, czyli seksualność. Właśnie dlatego współczesne przekleństwa przeniosły się z metafizyki do anatomii i fizjologii.

Trzeba jednak pamiętać, że nie chodzi w nich wyłącznie o seks. W kulturze bardzo często

seksualność była narzędziem dominacji i upokorzenia. Wystarczy spojrzeć na język więzienny albo na to, co dzieje się podczas wojen, gdzie gwałt staje się narzędziem prowadzenia wojny i odbierania godności. Te same mechanizmy znajdują odbicie w języku. Wulgaryzmy nie opisują seksualności jako czegoś przyjemnego. Służą raczej symbolicznemu pohańbieniu drugiego człowieka.

PAP: To dlatego nasze najcięższe przekleństwa są tak silnie zakorzenione w patriarchalnym sposobie myślenia?

J.W.: Myślę, że tak. Przez stulecia przeklinanie było przywilejem ludzi stojących wyżej w hierarchii. Kobietom po prostu nie wypadało przeklinać, ale to nie był odosobniony zakaz. Kobieta nie mogła palić papierosów, nie wypadało jej wznosić toastów, nie mogła wprost mówić o seksualności. Przeklinanie oznaczało pewną swobodę, a swoboda była oznaką pozycji społecznej i władzy. Kobieta, która przeklinała, przekraczała granice wyznaczone jej przez kulturę i uzurpowała sobie prawo do zachowań zarezerwowanych dla mężczyzn.

PAP: Przypomniała mi się pewna historia. Miałam koleżankę – śliczną blondynkę, która wyglądała jak anioł. Wsiadła do taksówki, rozmawiała z kierowcą, było bardzo miło. W pewnym momencie zadzwonił telefon i – rozmawiając z kimś z redakcji – zaczęła kłąć jak szewc. Taksówkarz był tak wstrząśnięty, że wjechał w samochód przed sobą.

J.W.: Bo tego się nie spodziewał. Gdyby identycznych słów użył impulsywny mężczyzna, nikt nie zwróciłby na to uwagi. W przypadku eleganckiej kobiety ten kontrast wywołuje zaskoczenie.

PAP: W dawnej Polsce przeklinanie było wręcz przywilejem kastowym.

J.W.: Bo w pewnym sensie tak było. Magnat mógł sobie pozwolić niemal na wszystko, ponieważ nad nim nie było już żadnego sędziego. Natomiast człowiek stojący niżej w hierarchii musiał bardzo uważać na słowa. Nie mógł obrażać kogoś, kto znajdował się wyżej od niego. Przekleństwo jest przecież sygnałem swobody. To komunikat: „mnie normy nie obowiązują” – o czym mówi powiedzenie „co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie”.

To zresztą tłumaczy, dlaczego narodziła się dyplomacja. Nie stworzyli jej ci, którzy mieli największą władzę. Powstała dlatego, że ludzie zwracający się do królów czy możnych musieli ważyć każde słowo i mówić w sposób zawołany, żeby nikogo nie urazić. Z tych rytuałów wyrosła późniejsza kultura grzeczności.

PAP: A później pojawiło się XIX-wieczne mieszczaństwo, które postanowiło uporządkować język.

J.W.: Tak naprawdę chodziło o burżuazję, która musiała stworzyć własny system odróżniania się od pozostałych warstw społecznych. Król nie musiał nikomu udowadniać, że jest kimś wyjątkowym. Mógł jeść palcami i nadal pozostawał królem. Burżuazja miała przede wszystkim pieniądze, ale nie miała wysokiego urodzenia. Musiała więc zbudować cały system znaków pokazujących jej wyższy status.

Tak narodził się *savoir-vivre*. Znaczenia nabrały odpowiednia zastawa, serwetki, sposób siedzenia przy stole, ubierania się, zachowania kobiet i mężczyzn, a także język. Przyzwoitość językowa stała się jednym z najważniejszych wyznaczników przynależności do wyższej warstwy społecznej.

Nieprzypadkowo w XIX wieku pojawiło się mnóstwo poradników dobrego wychowania i czasopism poświęconych manierom. Dyskutowano nawet o tym, jaki strój kobieta powinna założyć na kort tenisowy albo czego nie wypada mówić przy stole. Cały ten świat miał odróżniać mieszczaństwo od pospólstwa.

Towarzyszył temu bardzo silny nurt purytanizmu. W przeciwieństwie do rokoka, z jego swobodą obyczajową i odważną erotyką, XIX wiek wszystko zasłaniał i porządkował. Widać to również w literaturze. W romantyzmie znacznie mniej jest otwartych odniesień do seksualności niż w renesansie czy oświeceniu. Przyzwoitość stała się jedną z najważniejszych wartości, a przeklinanie zaczęło być traktowane jako znak braku ogłady.

PAP: Jest takie jedno polskie słowo na „k”, które zna chyba cały świat. Jeszcze niedawno uchodziło za wyjątkowo wulgarne, dziś wielu ludzi używa go niemal jak przecinka. Jak to się stało?

J.W.: To bardzo ciekawy proces. Przekleństwa, podobnie jak wszystkie inne słowa, podlegają temu samemu mechanizmowi zmian znaczeniowych. Jeżeli używamy jakiegoś wyrazu bardzo często, z czasem zaczyna on tracić swoją siłę. To trochę jak z lekami przeciwbólowymi – organizm się do nich przyzwyczaja i żeby osiągnąć ten sam efekt, potrzebuje coraz większej dawki. Z przekleństwami jest podobnie. Jeżeli jakieś słowo słyszymy kilkanaście czy kilkadziesiąt razy dziennie, przestaje nas szokować.

W przypadku słowa na „k” doszło jeszcze do czegoś innego. Ono bardzo często przestało pełnić funkcję przekleństwa. Stało się partykułą wzmacniającą. Niektórzy używają go po prostu po to, żeby podkreślić emocje albo rytm wypowiedzi, nie musi być skierowane przeciwko komuś.

To oczywiście nie znaczy, że przestało być wulgarne. Nadal jest. Natomiast jego funkcja w języku wyraźnie się zmienia.

PAP: Czyli przestaje obrażać?

J.W.: Raczej przestaje zaskakiwać, a to duża różnica. Jeżeli chcemy kogoś naprawdę obrazić, musimy sięgnąć po coś mocniejszego albo bardziej pomysłowego. Dlatego język cały czas produkuje nowe określenia i nowe sposoby wyrażania agresji.

To zresztą bardzo stary mechanizm. Dawne przekleństwa z czasem słabły, więc pojawiały się kolejne. Potem słabły następne. Język nieustannie szuka nowych środków wyrazu.

PAP: Powiedział pan, że przekleństwa działają trochę jak środki przeciwbólowe. Faktycznie?

J.W.: Tak, potwierdzają to badania naukowe, w dodatku na dwóch poziomach. Pierwszy jest fizjologiczny. Wiemy z badań, że przeklinanie w sytuacji bólu czy silnego stresu rzeczywiście może zwiększać odporność na cierpienie. Organizm mobilizuje się do działania, rośnie poziom adrenaliny i człowiek przez chwilę łatwiej znosi ból.

Drugi poziom jest społeczny. Przekleństwo pozwala rozładować napięcie. Czasami zastępuje działanie, którego z różnych powodów nie możemy podjąć. Nie możemy kogoś uderzyć, nie możemy rzucić przedmiotem, więc wyrzucamy z siebie emocje słowami.

Problem pojawia się wtedy, kiedy przekleństwo staje się odruchem. Jeżeli używamy go przy każdej okazji, przestaje pełnić swoją funkcję.

PAP: Polacy przeklinają częściej niż inne narody?

J.W.: To zależy od tego, z kim się porównujemy. Mamy przekonanie, że jesteśmy wyjątkowi, ale większość społeczeństw uważa podobnie o sobie. Natomiast rzeczywiście wydaje się, że należymy do kultur dość ekspresyjnych. Lubimy mocne emocje i lubimy je demonstrować. W tym sensie jesteśmy bliżsi południu Europy niż krajom skandynawskim.

Zdarza mi się żartować, że jesteśmy trochę Brazylijczykami Europy Środkowej. Oczywiście to metafora, ale dobrze pokazuje różnicę temperamentu. U nas emocje znacznie łatwiej trafiają do języka. Ale chodzi o to, że nie jesteśmy Brazylijczykami, choć chciałbym, żebyśmy nimi byli. Niestety, my narzekamy, mamy nastawienie „na nie” i na szukanie dziury w całym. Spodziewamy się że będzie źle albo że czegoś nie będzie.

Pytamy - "czy nie ma przypadkiem np. fasoli" - zamiast "czy jest fasola". I to spodziewanie się złych rzeczy powoduje frustrację i brak uśmiechu. Łatwość złorzeczenia i narzekania. I przeklinania. Szkoda że nie jesteśmy pozytywnie nastawionymi Brazylijczykami Europy.

PAP: A portale społecznościowe tylko to wzmacniają?

J.W.: Zdecydowanie. Wprawdzie to nie one wymyśliły przekleństwa, ale to one stworzyły środowisko, w którym język emocji zaczął być najbardziej opłacalny.

Jeżeli spokojnie napiszę, że z kimś się nie zgadzam, prawdopodobnie niewiele osób zwróci na to uwagę. Jeżeli napiszę to bardzo ostro, obrażę przeciwnika albo użyję mocnego słowa, szansa na reakcję użytkowników rośnie.

W ten sposób algorytm staje się nauczycielem języka. Nie mówi nam, jak powinniśmy mówić, ale nagradza określony sposób komunikacji. A ludzie bardzo szybko uczą się zachowań, które przynoszą im uwagę.

PAP: Gdy ogląda się polskie filmy z lat 50. czy 60., przekleństw prawie się nie słyszy. Potem przychodzą „Psy”, kino gangsterskie i nagle język zmienia się nie do poznania. Popkultura rzeczywiście miała na to wpływ?

J.W.: Ogromny, choć nie powiedziałbym, że sama stworzyła modę na przeklinanie. Raczej odzwierciedlała zmiany społeczne i jednocześnie je przyspieszała.

W „Psach” Władysława Pasikowskiego przekleństwa stają się elementem codziennego języka bohaterów. Nie są już wyjątkowym środkiem wyrazu. Budują wiarygodność postaci i całego świata przedstawionego. Widzowie zaczynają ten język oswajać, a później przenoszą go do codziennych rozmów. Tak działa kultura - nie tylko odbija rzeczywistość, ale również ją współtworzy.

PAP: Dzisiaj podobną rolę odgrywają media społecznościowe?

J.W.: Nawet większą. Film oglądamy przez dwie godziny, natomiast media społecznościowe towarzyszą wielu ludziom przez kilka godzin dziennie. Jeżeli codziennie widzimy język oparty na agresji, ironii i obrażaniu przeciwników, zaczynamy go traktować jako coś normalnego.

To zresztą dotyczy nie tylko wulgaryzmów. W mediach społecznościowych bardzo szybko rozprzestrzeniają się uproszczenia, etykietowanie ludzi, wyśmiewanie przeciwników czy pogarda. Wszystko dlatego, że takie komunikaty łatwo przyciągają uwagę.

PAP: Da się ten proces odwrócić?

J.W.: Historia języka pokazuje, że nic nie trwa wiecznie. Mody językowe przychodzą i odchodzą. Były epoki ogromnej wulgarności, po których następowały okresy większej powściągliwości. Nie sądzę, żebyśmy za kilkadziesiąt lat mówili dokładnie tak samo jak dziś.

Natomiast warto pamiętać, że język nie jest tylko narzędziem opisywania świata. On ten świat również współtworzy. Sposób, w jaki mówimy o innych ludziach, wpływa na to, jak ich postrzegamy.

Jeżeli nieustannie używamy języka pogardy, coraz trudniej jest nam dostrzec w drugim człowieku partnera do rozmowy.

PAP: Brzmi to trochę tak, jakbyśmy nie tylko mówili językiem, ale również byli przez niego kształtowani.

J.W.: Bo tak właśnie jest. Bardzo lubimy myśleć, że to my całkowicie panujemy nad językiem. Tymczasem jest odwrotnie. Rodzimy się w określonej kulturze, przejmujemy gotowe słowa, metafory i sposoby opisywania świata. Język podpowiada nam, co jest śmieszne, co obraźliwe, co eleganckie, a co nieprzyzwoite.

Dlatego często powtarzam studentom, że język mówi nami równie mocno, jak my mówimy językiem. Warto mieć tego świadomość, zwłaszcza dzisiaj, kiedy każdego dnia uczestniczymy w tysiącach komunikatów tworzonych przez media, polityków i internet.

Bo od tego, jakim językiem będziemy mówić do siebie nawzajem, w dużej mierze zależy również to, jakim społeczeństwem będziemy.

Źródło: pap.pl

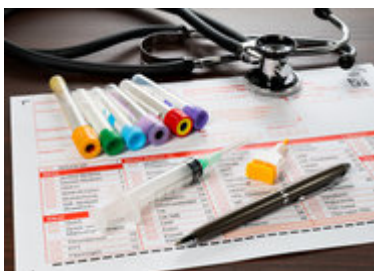
<https://laboratoria.net/aktualnosci/32934.html>



06-07-2026

[276 mln zł na granty mistrzowskie, zespołowe i polsko-litewskie](#)

Aplikować można o granty mistrzowskie w 18 edycji konkursu MAESTRO.



06-07-2026

[Nauka, której nikt nie rozumie, nie zmienia świata](#)

Celem nauki powinno być wywoływanie realnych zmian.



06-07-2026

W czasie upałów najlepiej, by seniorzy nie wychodzili z domu

Zwłaszcza gdy mieszkają w mieście, a także zaopatrzyli się w niezbędne leki.



06-07-2026

Chcieliśmy wykorzystać każdą minutę na orbicie

W czwartek mija rok od startu pierwszej w historii polskiej misji.



06-07-2026

Dr Małolepszy o nauczaniu matematyki na uczelniach technicznych

Od rozwiązywania równań są przecież komputery.



06-07-2026

[Portale społecznościowe sprzyjają brutalizacji języka](#)

Język nie jest tylko narzędziem opisywania świata, on ten świat współtworzy.



06-07-2026

[Światło dnia może chronić przed demencją](#)

Informuje pismo „General Psychiatri”.



06-07-2026

[Dezinformacja o kremach z filtrem na TikToku](#)

Przyciąga więcej uwagi niż rzetelne treści.

Informacje dnia: [276 mln zł na granty mistrzowskie, zespołowe i polsko-litewskie Nauka, której nikt nie rozumie, nie zmienia świata](#) [W czasie upałów najlepiej, by seniorzy nie wychodzili z domu](#) [Chcieliśmy wykorzystać każdą minutę na orbicie](#) [Dr Małolepszy o nauczaniu matematyki na uczelniach technicznych](#) [Portale społecznościowe sprzyjają brutalizacji języka](#) [276 mln zł na granty mistrzowskie, zespołowe i polsko-litewskie Nauka, której nikt nie rozumie, nie zmienia świata](#) [W czasie upałów najlepiej, by seniorzy nie wychodzili z domu](#) [Chcieliśmy wykorzystać każdą minutę na](#)

[orbicie Dr Małolepszy o nauczaniu matematyki na uczelniach technicznych](#) [Portale społecznościowe sprzyjają brutalizacji języka](#) [276 mln zł na granty mistrzowskie, zespołowe i polsko-litewskie](#) [Nauka, której nikt nie rozumie, nie zmienia świata](#) [W czasie upałów najlepiej, by seniorzy nie wychodzili z domu](#) [Chcieliśmy wykorzystać każdą minutę na orbicie](#) [Dr Małolepszy o nauczaniu matematyki na uczelniach technicznych](#) [Portale społecznościowe sprzyjają brutalizacji języka](#)

Partnerzy